

CLARK RUSSELL.

## W ODMĘTACH OCEANU.

1

## Przed burzą.

Zbudziły mnie nad ranem dalekie pomruki zbliżającej się burzy. Wyjrzałem oknem i jednym spojrzeniem objąłem groźne chmury, które, czarne i ponure, zbliżały się z oddali. Chwilami słabe promienie światła przedzierały się przez te ciemne kłębiące się masy obłoków. W dole leżało morze, jeszcze spokojne. Bałwany toczyły się leniwie ku wybrzeżu, ołowiano-szare, roztrącając swe grzbiety o skały nadbrzeżne, które okalały zatokę.

Przestwór morza wyglądał, jakby wymarła pustynia. Białe płyty piany tańczyły tylko na falach u stóp skały Deadlow i dwóch sąsiednich, które ogólnie zwano „bliźniakami“. Te białe smugi jedynie urozmaicały ponury krajobraz. Dziwna cisza, pełna wewnętrznego niepokoju, nappełniała powietrze; wiatr ucichł zupełnie i najłżejszy zefirek nie muskał powierzchni wód. Po pierwszych, odległych grzmotach, burza zamilkła, choć wisiała w powietrzu, jakby gotując się do gwałtownego i nagłego wybuchu.

Kiedy w kilka godzin potem wszedłem do jadalnego pokoju, zastałem matkę, krzątającą się przy stole. Poczciwa staruszka drżącymi rękami przygotowywała mi kawę.

— Znowu straszna słota dzisiaj, Hugonie! — westchnęła.

— A tak — odparłem — nad morzem zbiera się wielka burza. Czy słyszałaś, jak przedtem grzmiało?

Skinęła potakująco głową.

— Może przecież dzisiaj nie będziesz musiał wyjeżdżać na morze w łodzi ratunkowej. Znowu miałam dzisiaj taki straszny sen. Widziałam, jak ty i inni marynarze wsiedliście do łodzi i wypłynęli na pełne morze. Słońce cudnie świeciło. Wtem nagle ściemniło się, niebo zasnuło się ciemurami, tak jak teraz. Fala zaczęła rosnąć, a wy rzucani na wszystkie strony, staraliście się dobić do wybrzeża. Nadaremne jednak były wasze wysiłki. Łódź wasza, gnana wiatrem, popłynęła jak strzała na pełne morze...

— Sen-mara, matko — roześmiałem się. — Nasza „Joanna“ — tak nazywała się łódź ratunkowa — dzisiaj prawdopodobnie nic nie będzie miała do roboty. Na morzu nigdzie wokoło nie widać żadnego zagła. A jeśliby już tak wypadło, że musiałbym dzisiaj wśród burzy wyruszyć na morze, to wolę stokroć naszą „Joannę“, niż największe statki londyńskie, lub trójmasztowe liverpoolskie. Znam tę łódź.

Po śniadaniu ruszyłem na wybrzeże, aby obejrzeć łódź ratunkową, której dowódcą byłem od dwóch lat. Mimo mych młodych lat zajmowałem tak odpowiedzialne stanowisko dzięki bardzo smutnej historii. Mój ojciec przez szereg lat jako kapitan dowodził okrętami handlowymi. Uciulawszy trochę grosza, umieścił go w kilku ładunkach okrętowych, które przeznaczone do sprzedaży za Oceanem miały mu przynieść znaczny dochód. Było to coś około piętnaście lat przed chwilą, gdy zaczyna się to opowiadanie. Ojciec podjął podróż próbną nowiutkim statkiem, który miał z Swansey wziąć ładunek przeznaczony do południowej Ameryki. Zaledwie jednak piękny trójmasztowiec znalazł się na wysokości przylądka North-Foreland, zerwała się straszna burza morska, w czasie której okręt zatonał. Nadarmo załoga wzywała pomocy, nie pomogły sygnały ratunkowe, ani strzały z moździerzy i rakiety, którymi wzywano ratunku; kiedy wreszcie zdołano zbliżyć się na łodziach do ginącego statku, ten już pogrążył się w falach, a większość załogi, liczącej dwudziestu sześciu ludzi, znalazła śmierć w Oceanie. Mój ojciec także zginął. Śmierć ta wstrząsnęła bardzo moim wujem, Grzegorzem Tregarthenem, bogatym kupcem z Londynu, który na pamiątkę tragicznego zgonu swego brata kazał na swój koszt zbudować łódź ratunkową i podarował ją miastu rodzinnemu ojca. Na imię dano łodzi tej imię mej matki „Joanna“. Kiedy się to działo, ja byłem jeszcze małym chłopakiem, ale już wtedy uchodziłem za prawdziwego szczura wodnego. Kiedy doszedłem do lat dwudziestu, miałem już wyrobioną sławę, jako jeden z najodważniejszych i najzdolniejszych sterników naszego wybrzeża.

Kiedy mój poprzednik, dowódca „Joanny“ się postarzał i swe stanowisko opuścił, ja objąłem po

nim władzę, a w przeciągu tych dwóch lat „Joanna“ uratowała życie dwudziestu trzem mężczyznom, pięciu kobietom i dwójgu dzieciom...

Nim owego pamiętnego dnia wszedłem do szopy, w której pomieszczona była łódź, zapaliłem sobie fajkę. Uderzyło mnie, iż powietrze jest jakby skamieniałe. Płomień zapalki nie chwiał się nawet. Tylko fale przy wybrzeżu szły coraz wyżej, a w ich uderzaniu i hałasie, z jakim o skały się rozbijały, dzwiczął jakiś pusty, przejmujący ton.

Stado mew z głośnym krzykiem okrążało „Bliźniaki“ i skałę Deadlow. Zamiast z góry rzucić się w morze, aby nagle potem wzlatywać z zdobytym łupem, ptaki niespokojnie krążyły nad wodą, jakby wyglądając ku oceanowi, który przez wązki wjazd wśród skał wtaczał swe fale do naszej spokojnej zatoki.

Niedaleko od szopy, gdzie złożona była łódź, stała chata strażnika nadbrzeżnego, a obok niej wznosił się wysoki maszt do podnoszenia flag. Z dużą lornetą pod pachą stał właśnie we drzwiach chaty strażnik i rozmawiał ze starym marynarzem, Izaakiem Jordanem. Za chatą wznosiły się w górę spadziste i czarne skały, nad którymi królowała góra, zwana „Góra burz“, gdyż ona osłaniała doskonale nasze wybrzeże przed srogimi wiatrami z północy.

Od przylądka, na którym stała szopa z łodzią, ciągnął się stary drewniany wał, zataczając wielkie półkole, daleko w głąb zatoki. Przeszło pięćdziesiąt lat fale i burze morskie rozbijały się o te stare belki. Gdy morze było spokojne, wyladowywał czasem jakiś okręt węglowy tutaj swój ładunek. Czasem zaś, gdy przychodził czas wielkiego połowu, pod starym belkowaniem wypoczywały zgrabne barki rybackie z Penzance. Dzisiaj jednak na całym morzu, od brzegu aż po granice horyzontu, nie można było spostrzedz żadnego zagła. Także i wybrzeże było puste i ciche, tylko niedaleko wału kilku marynarzy wyciągało wyżej na piasek swe łodzie, gdyż prognoza atmosferyczna stawała się coraz gorsza.

Otworzyłem szopę i obejrzałem „Joannę“. Z zadowoleniem przekonałem się, że wszystko jest w porządku i łódź każdej chwili może wyruszyć na morze. Aby ją spuścić na wodę, od szopy prowadził pochyły drewniany pomost, który sięgał tak daleko w wodę, aby i przy niskim jej stanie można łódź w dół zepchnąć.

Kiedy stałem jeszcze, przypatrując się łodzi, spostrzegłem, że Izaak Jordan powoli ruszył w naszą stronę. Stary był znany jako dziwak i kilka mil wokoło nie było drugiego takiego oryginała. Twarz jego była jakby zwietrzała, poorana niezliczonymi zmarszczkami, zaś oczy patrzyły w świat smętnie, głęboko osadzone nie miały określonej barwy. W tym względzie zgadzały się w zupełności z jego kurtką marynarską, którą dobitnie wskazywała na to, że niejedna burza po niej przeszła. Z pod warg zapadłych ust błyszczał jeden jedyny wielki ząb, ciemnobrązowy już od gryzienia tytoniu.

Jordan nie pochodził z tych okolic. Przed blisko pięćdziesięciu laty burze zagnały do naszej zatoki rozbity okręt, na którego pokładzie znaleziono na pół żywego człowieka. Kiedy po pewnym czasie zdołano przyprowadzić go do przytomności, okazało się, że stracił zupełnie pamięć. Nawet nazwiska swego nie mógł sobie przypomnieć. Po kilkunastu latach, dzięki dziwnemu jakiemuś wypadkowi, odzyskał znowu pamięć, ale już nie opuścił gościnnej zatoki, gdzie przed laty znalazł przytułek. Jedynie chodził nad morze, aby złapać sobie trochę ryb, albo też najmował się czasem do noszenia worków na okrętach, aby zarobić na tytoniu.

— Dzień dobry, panie Tregarthen — zawołał podchodząc — dzisiaj będziemy mieli robotę, co? — wskazał na morze.

— Zdaje się — odrzekłem. — A kiedy, sądzicie, zacznie się burza?

— O! na to jeszcze czas — orzekł, badając spojrzeniem znawcy ołowiane chmury, wiszące nad morzem, z których zaczynały właśnie padać pierwsze krople deszczu. — Do wieczora jeszcze jako tako się utrzyma, jeśli jakiś gwałtowny piorun niespodziewanie nie roztworzy tych worków dżdżu tam na górze.

Piorun taki nie zjawił się, a deszcz wnet przestał padać. W tajemniczej ciszy, jaka panowała, każdy dźwięk słyszał było bardzo daleko. Z nad brzegu dochodziły nawoływania i okrzyki marynarzy, rozróżnić można było tarcie spodów łodzi o piasek, nawet z dalekiego miasteczka przez powietrze przenikał suchy turkot jadących po bruku wozów.

Blisko dwie godziny spędziłem nad morzem, obserwując zmiany atmosfery. Nic jednak na lepsze się nie zmieniło. Zauważyłem tylko, że od morza

ciągnie dziwny zapach psującej się słonej wody, zapach, którego nigdy jeszcze na naszym wybrzeżu nie obserwowałem. Jeden z moich marynarzy, należących do załogi „Joanny“, który właśnie wrócił z Góry burz, skąd obserwował okolicę, wyjaśnił mi, że są to wyziewy morza wzburzonego gwałtownym wichrem, które nieraz na kilka mil wokoło zatrzymują powietrze.

— Nie widać żadnego okrętu? — zapytałem.

— W północy coś się pokazuje.

— Zapewne będzie to parowiec — odpowiedziałem — żaden żaglowiec nie odważyłby się dzisiaj ruszyć na morze wobec zupełnej ciszy.

Pożegnałem się następnie z towarzyszami i podążyłem powoli ku domowi, gdyż o pierwszej zwykłej jedliśmy obiad.

Matka powitała mnie, pełna niepokoju i wypytywała się o pogodę.

— Prawdopodobnie będziemy mieli burzę!

— Na morzu niema chyba żadnego statku? — dopytywała się.

Nie — uspokoiłem ją — tylko w kierunku północno-zachodnim pokazało się coś białego, co robiło wrażenie zagła.

Pokiwała głową i zabrała się do czytania gazety, ja zaś sięgnąłem po ulubioną fajkę. Kiedy tak siedzieliśmy razem w zaciszu domowym, zapukał ktoś w okno. Pobiegłem i otworzyłem. Pod niem stał proboszcz z Tintrenale, John Trembath; zaprosiłem go do środka.

— Prawdopodobnie będzie pan dzisiaj miał jeszcze robotę, panie Tregarthen — rzekł po przywitaniu się. — Właśnie opowiadał mi stary Roscorla, że z „Nosa biskupiego“ widziano na zachodzie żaglowiec, który płynie w kierunku naszej zatoki.

— Boże, zmiłuj się nad nim, jeśli dostaniemy wiatr zachodni — zawołałem.

— Już go mamy — odpowiedział Mr. Trembath.

— Żeby się też ta pogoda troszkę wyjaśniła — narzekała moja matka. — Tak się boję. Mam wrażenie, że grozi nam dzisiaj jeszcze jakieś groźne niebezpieczeństwo. Czy ojciec wierzy w sny, Mr. Trembath?

— Nie — odpowiedział ksiądz krótko. — Cóż się to takiego pani śniło?

Matka zaczęła szeroko opowiadać. Ksiądz słuchał, kiwając głową, wreszcie roześmiał się.

— Baj, baj! Pewnie popsuka sobie pani wczoraj żołądek. Lepiej trzeba się było napić przed spaniem lampkę dobrego likieru wiśniowego, jaki pani umie wyrabiać. Nie trapiłaby się pani obecnie tak smutnymi myślami.

Proboszcz, wypiwszy lampkę ulubionego likieru, poszedł do domu, ja zaś wybiegłem znowu na brzeg, aby zbadać sytuację. Powietrze zmieniło się trochę. Chmury skupiły się jeszcze bardziej, a nad całą okolicą, mimo dosyć wczesnej godziny, zaległ półmrok, jaki zwykle bywa po zachodzie słońca. W zatoce lekki wiatr zaczął podnosić fale, koło „Bliźniaków“ zaś i Deadlowa morze już grzmiało rozgłośnie.

Napróżno starałem się odszukać na horyzoncie zapowiedziany żagiel. Zatoka była pusta, a na zachód widok zasłaniała wysoka Góra burz. Znużony bezowocnymi poszukiwaniami zszedłem ku samemu morzu, na koniec wału, gdzie zgromadziło się kilkunastu rybaków i majtków, między którymi zauważyłem także kilku ludzi z załogi „Joanny“.

## Okręt w zatoce.

Okręt, dostrzeżony na widnokręgu, mógł lada chwila zawinąć do zatoki, o ile tymczasem nie zmienił kierunku. Czekaliśmy jednak jeszcze pół godziny, zanim ukazał się naszym oczom poza skałami, leżącymi u wejścia do zatoki.

Był to zgrabna barka o pojemności około czterystu ton. Lekki wiatr zachodni popychał ją powoli ku brzegowi, mimo, iż od pokładu, aż do szczytu masztów pokryta była żaglami.

— To jakiś obcy okręt — zauważył któryś z marynarzy.

— A tak — odpowiedziałem, przyglądając się dokładnie nadjeżdżającemu statkowi przez moją lornetę, której doskonałość już nieraz wypróbowałem — takiej na zielono malowanej burty nie ma żaden statek angielski. O, właśnie wywiesza flagę. To Duńczyk.

— Czego ten tu szuka? — rzucił inny z otaczających.

— Może kapitan się upił! — podjął ze śmiechem jeden z młodszych.

— Albo też jest mądrzejszy, niż my i wie, skąd dzisiaj w nocy wiatr będzie dął — bronił kapitana nieznanego statku stary wilk morski.

— Hm! — zauważyłem — jeśli będziemy mieli